

Andrzej Walter

Miserie literackich zamrażarek

W środowisku literackim, szczególnie tym bardziej hermetycznym, akademickim czy awangardowym moja postawa oceniana jest jednoznacznie jako naiwna, a najczęściej używa się określeń „anachroniczny” czy „sentymentalny” jakby to miały być przeraźliwe obelgi. Tak, jestem anachroniczny, sentymentalny, naiwny. Sprzeciwiam się cynizmowi, wyrachowaniu, obrzydliwym matactwom, układom, układzikom, sieci powiązań i dźwięgniom towarzyskim w promowaniu kiczu i szmiry, ależ, ależ, nazywanej niejednokrotnie „wybitną”.

Mam w całkowitej pompie utyskiwania gryziopiórków upadających dziedzin nauki, całą tę ich powagę patosu i nobilitowania literackiego łajna opartego na: ironii, dystansie i cynizmie. Mój brak nowoczesnego wyrafinowania, moja walka z wiatrakami, moja prześmiewna donkiszoteria i moja dychotomia zawodowa to całkiem niezły oręż do walki z miąższością intelektualną ukrytą pod warstwami lingwistycznych frazesów opatulonych pseudonaukowym bełkotem. W – jak sądzę – najbardziej dziejowym z dziejowych sporze o kulturę jest nas wbrew pozorom bardzo wielu po tej samej stronie muru. Po prostu nie lubimy jak nam się wmawia, że dziełko bez treści, bez narracji, bez wartości i cnót to warte Nobla arcydzieł(k)o, czy jak nam się wciska tego czy owego delikwenta jako nieznanego wybitnego, któremu powinniśmy wiązać z pokorą i czołobitnością sandały u stóp (a najbardziej to kupować jego wybitnie nudne i niezrozumiałe plwociny literackie narozdrożone tu i ówdzie).

Jakże smutnym jest fakt, że w tę hucpę dają się wpłatać profesorowie uniwersytetów, szefowie katedr, było, nie było, wielcy fachowcy tej dziedziny, dziedziny, przynajmniej dalece podupadłej, acz wciąż jeszcze przecież żywej. Rozumiem ich motywację, najczęściej wyrażoną konkretnymi kwotami na kontaktach, które w porównaniu do realnego świata są banalnie niskie, ale dla nich niebotycznie kuszące i wygłuszające porywy sumień. Pecunia non olet jak mawiali starożytni Rzymianie i tak to do dziś pozostało.

Mówiliśmy jednak o depresjach, pardon, cierpieniach młodego Waltera. Otóż zapewniam Was moi interlokutorzy – Walter nie cierpi. Walter ma Was (hipokryci i narcyzowie wszelacy) w tej samej pompie co poprzednio oraz tam, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę i śmieje się z Was coraz głośniejszy, coraz silniejszy, do rozpuku i z coraz większym przekonaniem, że nic się już z Wami zrobić nie da. Podpisaliście cyrografy i pozamiatane. Wasz głos wołający również i na naszej puszczy brzmi dziś bardzo lichy i marnie. Nie pomogą Wam żadne góry literatury, żadne szczyry (w głównych rolach) i bzdury, które tak obficie wygadujecie od wielkiego dzwonu do łaskawie zaświeconych obiektywów kamer. Widzowie

Was posłuchają, pokiwiają głowami, wyrażą zachwyt i uniesienie, a potem i tak kupią kryminał, najlepiej zagraniczny, gdyż i lepiej napisany, i bardziej wymyślny, i bliższy życia i realnym problemom, słowem napisany sprawniej, atrakcyjniej i ciekawiej. Cały Wasz dorobek dotknie ten sam przemiał, który pochłonie i naszą twórczość, z jedną wszakże różnicą. Ceny sprzedażą własnej duszy.

Współczesna teoria literatury bawi się zatem w ten chłód zdystansowany, chłód ich zdaniem niemal doskonały, zamrażarkę wręcz, ścigając znowu w ich tylko mniemaniu, kicz i sentymentalizm, wstawiając w te miejsca rebusy intelektualne, uważając piękno za anachroniczne, a w to z kolei miejsce podstawiając: szok, problemy czy obnażenie (się), a nie zachwyt. Zachwyt to dla Janka Muzykanta, dla cierpiącego Wertera, a my, tacy dumni, wyemancypowani łaskawie i chłodno wchłaniamy brzydotę serwowaną nam niczym ambrozję.

Czyż to nie obrzydliwe?

Dochodzimy do sedna tego rozważania. Mamy zatem sztukę, która w postaci przykładowo poezji stała się hermetycznym laboratorium dla garstki głównie samych piszących, mamy utratę kontaktu z realnym czytelnikiem i odbiorcą, mamy też już w samym wnętrzu owego laboratorium grupkę ustosunkowanych typów, którzy zahaczyli się o jakąś kasę i rozdają (samym swoim) synekury nagród, którzy później wychodzą przed ten pustynny naród i mówią – tak, ja jestem poetą – i pokazują te hieroglify strof o niczym upstrzone guanem i bólem (oj, tak, czasem bólem, ale to chyba akurat dobrze)... Szkoda, że nikt niczego nie rozumie, ale gdyby rozumiał to taki profesor nie mógłby dorobić, ale najsmutniejszym jest fakt istnienia tutaj tej jeszcze innej strony barykady mianowicie władz, decydentów i nawet bibliotek (jak już skończą potańcówki), bo przedstawiciele tegoż z kolei gatunku, również niewiele czytający łykają te frazesy jak pelikan rybę i rzucają oni skromnym groszem na to i na owo, no... i później przekraczamy sobie znów kolejne góry literatury, na bosaka i bez prowiantu, ale przecież dziarsko i skutecznie. Niektórzy robią nawet przy tej okazji (sic!) warsztaty, w myśl staropolskiej reguły „uczyl Marcin Marcina, a sam głupi jak świnia”.

Jestem z Gliwic. Piękne miasto dwóch niedawnych wielkich poetów – Różewicza i Zagajewskiego. Przeszłych przecież poetów. Minionych, ale nadal wielkich. I wyobraźcie sobie, my też mamy takiego swojego literackiego śląskiego trolla, akademickiego narcyza, który idealnie spaja wcześniej opisane wątki. Dla przykładu: warsztatowej miserii: ten pan to uosobienie naukowego rzemieślnika, który nie ma nic do powiedzenia, ale świetnie opowiada żargon. Jego „twórczość” to puste słowa, którymi maskuje brak autentycznej

pasji czy odkrywczosci. To „mizéria” ubrana w profesorską togę. No i oczywiście *Pecunia non olet*: Jako karierowicz nie kieruje się etyką, lecz zyskiem. Granty, stanowiska i układy są dla niego ważniejsze niż prawda. Pieniądze i wpływy „nie śmierdzą”, nawet jeśli zdobywa się je kosztem studentów czy rzetelności. Poprzez zamknięty krąg władzy, mediów (jedyną słuszną Gazetę) i towarzyskich powiązań z wyżej wymienionymi zatruwa teraz umysły tej rachitycznej garstki pozostałej przy bibliotekach pomiędzy potańcówką a dj-przygodą.

Szanowni, Drodzy, przecież to kompletny upadek. Degrengolada totalna, staczenie się literatury w przepaść. Ludzie prawdziwie, realnie czytający i tak nie słuchają tych bzdur i bredni, a każdy czyta to, co sprawia mu radość, a nie tę lansowaną grafomanię, od której wzbiera w czytelniku tylko obrzydzenie i powątpiewanie w naturę człowieczeństwa.

Tak. Do tego to właśnie prowadzi. Śledzę stale wszelkie rankingi, zestawienia, oceny książek i drogi nasze się rozchodzą. Dalece rozchodzą. Wkrótce akademicy zostaną z ręką w jedynie swoim własnym nocniku. Oby jeszcze mieli go gdzie postawić. Ja wiem, śmierć bywa gorzka. Ręka w nocniku to jeszcze nie taka tragedia. Prawdziwą tragedią jest cisza i brak lustra. Kończy się uzurpowana wielkość. I to jest realna śmierć.

A literatura? Przeżyje. Bo jak wiem żyje i żyć będzie. Wielkie książki, ważne, dziejowe pozycje, zawsze będą popularne, nawet w mniejszym gronie czytelników, ale tamte paskudy – dziś ogłaszane wybitnymi na wyrost – przeminą tak szybko jak szybko ustawiono je na świecznikach. I nastąpi przemiał, wielki wspaniały przemiał. Byle tylko nie zapłonął, niczym sto temu w stolicy świata. Świata, który później idealnie i miarowo runął. Runął i się już nie podniósł.

Proponuję na koniec powołanie ruchu, ruchu Literatury Normalnej, literatury prawdziwej, opartej jak u Myśliwskiego, na sile opowieści, na emocjach, na wspomnieniach, na odwiecznych prawdach i zachwytach. Skoro tylu nas jest, dajmy realny odpór chładowi, sztuczności, wyrobom *literaturopodobnym*. Twórzmy listy i rankingi tytułów „kontrowersyjnych”, które połowa snobuje, a druga połowa pali w piecok, odważnie nazywajmy rzeczy po imieniu. Inaczej pochłonie nas cisza i milczenie oraz świat, który jest nam obcy. Świat literackiego rebusu, sztucznych tekstów bez serc i duszy, tekstów dekonstrukcji językowej zamiast nadziei.

Coraz częściej znajduję prawdziwą literaturę w antykwariatach. Pośród pozółkłych wolumenów staroci. Pośród tekstów sprzed lat i epok, a jakby dziś pisanych i jakby o nas. Deja vu? Tam znajdziecie wybitnych, tu jedynie wybitnych albo nie w ciemni bitych... *Vivat Academia, vivat professores!*

■